

TOMASZ SAMOJLIK

TARMOSIA

ILUSTRACJE ANIA GRZYB



TARMOSIA

TOMASZ SAMOJLIK

TARMOSIA

ILUSTRACJE ANIA GRZYB



[Kup książkę](#)



SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy, w którym Tarmosia się budzi	7
Rozdział drugi, w którym trzeba sprzątać	25
Rozdział trzeci, w którym odsłonięta zostaje tajemnica sztuki walki	39
Rozdział czwarty, w którym niespodziewanych gości jest więcej	59
Rozdział piąty, w którym borsuczka wpada w tarapaty	73
Rozdział szósty, w którym rządzą wilki	93
Rozdział siódmy, w którym borsuczka ma plan i w którym występują latryny	109
Rozdział ósmy, w którym mowa o prastarej norze	129
Rozdział dziewiąty, w którym trudno przekonać tatę	143
Rozdział dziesiąty, w którym wszystko się układa, potem wali, a potem...	157
Podziękowania, uwagi końcowe i takie tam rzeczy	174

ROZDZIAŁ PIERWSZY, W KTÓRYM TARMOSIA SIĘ BUDZI

Tarmosia otworzyła oczy. Serce biło jej szybko. Coś wyrwało ją ze snu. Tylko co? Na dnie nory było ciemno i ciepło, obok leżeli spokojnie mama i tata, a nieco dalej, u wylotu jednego z korytarzy, spał dziadek. Nie licząc ich posapywania, było cicho.

Dziadek zachrapał przeciągle, stęknął i podrapał się przez sen po brzuchu. Tarmosia zastanowiła się chwilę, po czym pokręciła głową. Nie, to było za mało, by ją zbudzić. Jak każdy borsuk, zimą potrafiła spać tygodniami bez przerwy, a tu taka

nietyпова sytuacja. Kiedy już wytłumaczyła sobie, że to pewnie nic takiego i że powinna raczej znowu zamknąć oczy, pomyśleć o czymś przyjemnym i odpłynąć, poczuła leciutkie drżenie ziemi. Nie koniec na tym, bo wydało jej się też, że słyszy odległe echo grzmotu. W takich warunkach nie mogła spać!

Delikatnie wyswobodziła się z uścisku mamy, wyminęła śpiącego tatę i przeczołgała się obok dziadka. Główny korytarz ich nory zakręcał kilka razy, więc dotarcie do wyjścia zajęło jej dobrą chwilę. Po drodze jeszcze raz poczuła drżenie ziemi, a dziwny pomruk narastał w jej uszach.

Wystawiła z nory białą główkę z dwoma czarnymi pasami biegnącymi od uszu do pokaźnego nosa. Czy to już wiosna? – pomyślała i pokręciła głową. Skąd miała



wiedzieć? Co prawda, urodziła się poprzedniej wiosny, ale nie za bardzo ją pamiętała, bo najpierw długo nic nie widziała, a kiedy już otworzyła oczy i mama pozwoliła jej wyjść z nory, wiosna zdążyła zamienić się w lato. Teraz było inaczej. Tarmosia uniosła nos i wciągnęła powietrze. Było zimne. Na jej czuja zbyt zimne, by borsuki miały się na dobre obudzić. I niesło jakiś dziwny, całkiem nieborsuczy zapach.

W oddali coś gwałtownie zawarczało i huknęło, ziemia znów zadrżała. Tarmosia wytrzymała wzrok. Nie zobaczyła niczego podejrzanego, ale zdecydowanie coś się tam działo. Całe szczęście właśnie tam, daleko od ich spokojnej nory.

Nagle usłyszała coś jeszcze. Szelest i uderzenia racic! To dwie łanie! Biegły w jej stronę.

– Biegnij, biegnij! – zawołała starsza.

– Biegnę, biegnę! – odkrzyknęła młodsza.

Przemknęły bardzo blisko. Tarmosi wydawało się, że w ich szeroko otwartych oczach widzi przerażenie. Była pewna jednego – za nic nie miała ochoty

sprawdzać, co je tak bardzo wystraszyło. Cofnęła się do bezpiecznej nory, przeszła znajomym korytarzem i wróciła do borsuczej sypialni. Dziadek przetoczył się w międzyczasie na jej miejsce, więc musiała go trochę potarmosić, by móc na powrót przytulić się do mamy. Zwinęła się w kulkę i zacisnęła oczy. Później opowiem wszystko mamie i tacie, oni na pewno poradzą sobie z tym czymś, postanowiła. Nie ma się czym martwić, próbowała się przekonywać. Ale zanim usnęła, przez jej głowę w kółko przetaczały się myśli o trzęsącej się ziemi, dalekich odgłosach grzmotów i przerażonych łaniach.

Oczywiście śniły się jej koszmary. Że siedziała wychylona z wejścia do nory i słuchała przetaczających się po ziemi ni to pomruków, ni to warkotów, nosem łowiąc obce zapachy. We śnie pomyślała, że na szczęście te dziwne rzeczy dzieją się hen, daleko od bezpiecznego miejsca. Rzecz jasna, w tym samym momencie dziwne rzeczy pojawiły się we śnie. Poczuła, że zbliża się coś groźnego i sierść zjeżyła jej się na grzbiecie. Chciała uciec z powrotem do

nory, ale ku jej przerażeniu wejście było zatarasowane wielką futrzaną kulą! Zaczęła ją odpychać łapami i deptać nogami, ale uzyskała tylko tyle, że kula zaczęła sapać i ciamkać, potęgując w niej grozę. W desperacji Tarmosia sięgnęła po środek ostateczny. Zaatakowała kulę zębami!

Zbudził ją przeraźliwy krzyk. Ze zdziwieniem spostrzegła, że z całych sił gryzie ogonek dziadka, który, z zaciśniętymi oczami, darł się wniebogłosy:

– Alarm! Atakują! Gryzą! Napadają!

Borsuczka natychmiast puściła ogonek i odsunęła się dyskretnie pod ścianę nory. W tym czasie mama i tata budzili się, sapiąc z irytacją.

– Co się... – wymruczała mama, wstając ciężko z dna nory. Tarmosia zauważyła, że mama zrobiła się przez zimę strasznie pękata.

Tata borsuk przyczłapał, trąc zaspane oczy.

– Dziadku! Dziadku! – Potrząsnął starym borsukiem. – Coś się dziadkowi przyśniło. Niech się dziadek wreszcie uciszy!

Dziadek przestał się wydzierać i otworzył oczy.

– Gdzie przyśniło? Co przyśniło? – fuknął, rozdrażniony. – Coś się dostało do nory i gryzło! O, tu jest ślad po zębach! Na ogonku, panie dzieju!

Tata zmarszczył brwi i miał zamiar powiedzieć coś nieładnego, ale mama go odsunęła i pochyliła się nad ogonem dziadka.

– Oj dziadku, ma tu dziadek ze sto śladów po ugryzieniach – skomentowała, przyglądając się ogonkowi starego borsuka.

– Walczyło się, to się ma blizny! – Dziadek dumnie wypiął posiwiałą pierś.

– Walczyło się, ale niekoniecznie wygrywało... Co, dziadku? – skomentował tata.

– Meluś! – ofuknęła go mama. – Nie dokuczaj dziadkowi.

– Nie dokuczam przecież! Mówię tylko, że nie każdy może być mistrzem borsukjutsu i muai borsukai – wyjaśnił tata, mimochodem puszczając się i przężąc mięśnie w walecznej pozie.

Dziadek nie zwracał uwagi na tę wymianę zdań, tylko rozglądał się po zakamarkach



nory, szukając napastnika, który tak niemiło potraktował tylną część jego ciała. Spojrzał na Tarmosię.

– A ciebie nie pogryzło? – zapytał.

– Mnie? Nic a nic – odpowiedziała, a jej pyszczek miał najbardziej niewinną z niewinnych min.

Chciała opowiedzieć o swoim dziwnym przebudzeniu i śnie rodzicom, ale jednocześnie nie miała ochoty przyznawać się, że to ona wywołała całe to zamieszanie. Postanowiła zatem, że zatrzyma to dla siebie. W międzyczasie dziadek skończył oględziny borsuczej sypialni. Nie znalazł, oczywiście, żadnych śladów tajemniczego napastnika, co tylko umocniło tatę borsuka w przekonaniu, że dziadziusiowi sen pomieszał się z jawą.

– Zaczynam się zastanawiać, dlaczego w ogóle pozwoliliśmy dziadkowi zamieszkać z nami? – powiedział szorstko. – Jak nas tak dziadek będzie budził, to dziadka eksmitujemy.

– Melo! Co ty wygadujesz?! – zezłościła się mama.

– No co? No co? To nawet nie jest nasz prawdziwy dziadek – bronił się tata borsuk.

Tarmosia wiedziała, że Skjoldur nie był jej dziadkiem. I że w ogóle nie był spokrewniony ani z jej mamą Majrą, ani z jej tatą Melo. Ale dotychczas nikomu to nie przeszkadzało. A teraz... Czyżby z jej winy dziadek miał zostać wyrzucony z ich rodzinnej nory? Musiała jakoś przerwać tę dyskusję i rozluźnić atmosferę. Tylko jak?

– Siku mi się chce! – powiedziała.

– Meluś, idź z nią na zewnątrz – poprosiła mama, już dużo łagodniej.

– Ja? A dlaczego ja? Samce nie zajmują się dziećmi. Poza tym, właśnie dyskutuję z dziadkiem...

– zaczął argumentować tata, ale widząc wzrok mamy skapitulował.

– Dobra, dobra. Choć wydaje mi się, że nasza córka jest już na tyle duża, że może sama chodzić do latryny. W zeszłym roku była po prostu siusiającym i kupkającym gdzie popadnie berbeciem, a teraz...

– Tata, jak to tata, musiał trochę pomarudzić.

Wyszli na zewnątrz. Było dużo cieplej, niż Tarmosia zapamiętała. Może po prostu jej koszmar

trwał dłużej, niż jej się wydawało i w międzyczasie przyszła wiosna? Nie słyszała już żadnych podejrzanych hałasów, ziemia również przestała się trząść.

Był wieczór, prawie noc, czyli normalny początek borsuczego dnia. Mimo zapadających ciemności, tata Melo pewnie i szybko zaprowadził ją ścieżką między drzewami do dołka wykopanego kawałek od nory.

– No i proszę, nasza latryna przetrwała zimę. Jest bardzo solidna, wykopaliśmy ją jeszcze przed twoim urodzeniem. Kosztowało nas to kupę pracy – powiedział z uśmiechem i spojrzał na córkę.

Tarmosia odwzajemniła spojrzenie, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

– Kupę pracy. Rozumiesz? Taki żart – westchnął zrezygnowany.

Tarmosia wzruszyła ramionami i ostrożnie weszła do latryny.

– Poczekaj, mam lepszy żart – nie dawał za wygraną Melo. – Po dżdżownicach kupy są gliniste, po owocach leśnych galaretowate, a po zimie?

Borsuczka westchnęła ciężko, starając się skupić na siusianiu.

– Zamarznięte! – wykrzyknął tata. – Łapiesz? Łapiesz?

Tarmosia bała się, że jeśli nie załapie, tata będzie wymyślał kolejne, równie dobre żarty, więc skinęła głową i nawet się lekko uśmiechnęła, na znak, że łapie. Przy okazji spostrzegła, że ścieżka biegnie dalej, ginąc pod rosnącymi gęsto krzakami, teraz jeszcze pozbawionymi liści.

– Co tam jest? – Chciała wiedzieć.

– Nasza druga nora, rzecz jasna – powiedział tata. – A jeszcze dalej mamy takie zapasowe. Ale to już na skraju naszego terytorium.

Tarmosia westchnęła. O terytorium nasłuchiwała się jeszcze latem i jesienią, kiedy była, jak to tatuś określił, siusiającym i kupkającym gdzie popadnie berbeciem. Miała nadzieję, że nie będzie musiała znów słuchać o tym, że...

– Terytorium klanu borsuków to rzecz najważniejsza, a główna nora



rodziny to rzecz święta – powiedział tata z poważną miną, kładąc łapę na sercu. Tarmosia wywróciła oczami. Szykował się dłuugi wykład.

– To tu nasz klan jest bezpieczny i ma co jeść, dlatego musimy bronić naszego terenu, a przede wszystkim naszej nory. Za wszelką cenę! – wygłosił Melo podniosłym tonem.

Teraz powie, że on jest stąd – pomyślała zrezygnowana borsuczka.

– Ja jestem stąd, a to jest moje miejsce. Lepszego nie ma i nie będzie! – kontynuował niewzruszony Melo...

A teraz będzie się kłął, przypomniała sobie Tarmosia.

– Klnę się na duchy naszych przodków, że będę bronił mojej nory i mojego terytorium przed wszystkimi intruzami, póki jestem w stanie podnieść łapę i póki ostał się na niej choć jeden pazur! – Tata podniósł łapy do góry w dramatycznym geście.

– Myślisz, że cię słyszą? – powiedziała powątpiewająco Tarmosia.

– Kto?

– Duchy naszych przodków – wyjaśniła. – Dość podejrzana sprawa, gdybyś mnie zapytał o zdanie.

– Córciu, nie żartuj z takich rzeczy – poważnie zaniepokoił się Melo. – Chodź, pokażę ci coś.

Kiwnął na nią łapą i poprowadził z powrotem w kierunku ich nory. Nie weszli jednak głównym wejściem, z którego wystawała głowa dziadka wężącego dookoła z zaciekawieniem. Tata minął go i poczłapał w dół pagórka, w którym wykopana była ich nora. Minęli dwa czy trzy zapasowe wejścia, z których Tarmosia czasem korzystała ubiegłej jesieni, po czym dotarli do miejsca, którego borsuczka do tej pory nie widziała. Melo podszedł do kupki suchych liści i rozgarnął ją. Pod spodem było jeszcze jedno wejście, bardzo stare i zaniedbane.

Spojrzał na nią i bez słowa się przez nie przecisnął. Tarmosia weszła za nim. Korytarz był wąski, w wielu miejscach poprzecinany korzeniami roślin. Widać było, że dawno już nikt tu nie mieszkał.



– Co to za miejsce? – zapytała.

– To najstarsza część naszej nory – powiedział Melo. – Powstała wiele, wiele borsuczych pokoleń temu.

Korytarz przeszedł w większą komorę, która jednak była ucięta na pół zwałowiskiem ziemi.

– Zawaliło się! – zdziwiła się Tarmosia.

– Tak, już dawno, jeszcze przed moim urodzeniem. Zasypało całe mnóstwo prastarych korytarzy, podobno gdzieś tam, po drugiej stronie pagórka, jest jeszcze ślad po wejściu do nich. Kiedyś nora była po prostu dużo większa – wyjaśnił tata. – Najważniejsze jednak zostało. Zobacz tutaj.

Podszedł do ściany komory. Tarmosia wyrzała zza jego grzbietu, ciekawa, co ma jej do pokazania. Na ścianie, w zastygłej glinie, widać było odcisk wielkiej borsuczej łapy.

– To łapa naszego praprzodka, pierwszego budowniczego tej nory. To znak tego, że borsuki są tu od zawsze i na zawsze. To nasza nora – powiedział wzniosłym tonem Melo.

– Niesamowite – wyszeptała zafascynowana borsuczka.

– A pewnie! – zgodził się tata. – Spośród wszystkich zwierząt, tylko borsuki mają tradycję i pamiętają o swoich przodkach. Dlatego też nie boją się duchów, w odróżnieniu od innych zwierząt – dodał.

– Serio? Inne boją się duchów? – zdziwiła się Tarmosia. – Nawet wilki?

– Ooo, córeczko, wilki to szczególnie boją się duchów, zwłaszcza tych wszystkich jeleni, które zjadły – powiedział tata z uczoną miną.

Tarmosia wyobraziła sobie duchy-jelenie, biegnące dookoła, wyjące i prześladowające wilki. Bardzo ją ta wizja rozbawiła.